

# Zwierzenie kata

„We Lwowie! Czy pani wie, o czym mówię w tej chwili? We Lwowie!” – znowu dziki śmiech. – „Tak, tak, profesorowie Uniwersytetu! Ha, ha, to moje dzieło, moje! Dziś, gdy pani już nie wyjdzie, mogę jej to powiedzieć! Tak, tak w... (tu wymienił jakiś dzień tygodnia, wydaje mi się, że czwartek) – kwadrans po trzeciej rano...” Teraz patrzył mi w oczy. Mam wrażenie, że widział, że tym razem mu się udało, że strzał był celny, bo się wyraźnie ucieszył. Mnie się tymczasem zdawało, że mi ktoś wbija młotkiem w mózg takie słowa: „A więc oni nie żyją, a mordercą jest TEN!” I szybko, jak we śnie, mignęły mi postacie Renckiego, Dobrzańskiego, Ostrowskiego i tylu innych.

Przeżycie Karoliny Lanckorońskiej, zapisane w jej *Wspomnieniach wojennych* (Wydawnictwo Znak, Kraków 2001), stało się, wiele lat później, zeznaniem w procesie Hauptsturmführera Hansa Krügera, oskarżonego o zamordowanie kilku tysięcy Żydów i wielu Polaków w Stanisławowie. Tam właśnie przesłuchiwał był w 1942 r. dr Lanckorońska, która w Stanisławowie prowadziła placówkę Rady Głównej Opiekuńczej. Nie przypuszczał, że wywieziona do Ravensbrück, przeżyje obóz i po wojnie opíše (w 1948 r. na łamach emigracyjnego „Orła Białego”) swoją rozmowę z katem.

Na Wzgórzach Wuleckich, gdzie dokonano zbrodni, byłam z rodzicami jeszcze zanim opuściliśmy Lwów na zawsze i zapamiętałam, że tam zginął mistrz mojego ojca prof. Roman Rencki, wybitny internista i wychowawca wielu lekarzy. Potem, studiując polonistykę na drugim krańcu Polski, w innej epoce, uprzytomniłam sobie stratę, jaką była śmierć Boya, właściwie przypadkowa, gdyż znalazł się 4 lipca 1941 r. we Lwowie w gościnie u szwagra, prof. Jana Greka.

Później spotykałam we Wrocławiu krewnych, przyjaciół i uczniów pomordowanych profesorów oraz zupełnie obcych im ludzi, którzy starali się, żeby stanął pomnik ofiar niemieckiej zbrodni – blisko Politechniki Wrocławskiej i klinik Akademii Medycznej, która znów od niedawna jest uniwersytetem. Starania nie były tylko zbieraniem potrzebnych pieniędzy i szukaniem projektanta. Upamiętnienie profesorów i pracowników lwowskich uczelni, w mieście, do którego z wygnańcami przeniosły się najlepsze ich tradycje, rozległość horyzontów badawczych, śmiałość rozwijanych idei naukowych, otwartość na dorobek innych uniwersytetów i innych narodów – cechy właściwe środowiskom wielokulturowym, jakie kształtują się na kresach państw – wszystko to powojenne władze chciały pogrzebać w lamusie historii, aby nie ożywało i nie stanowiło ciągłości. Zastługę w tym, że wrocławski pomnik stoi, miał pierwszy po wojnie rektor Uniwersytetu Wrocławskiego – w latach trzydziestych rektor UJK – prof. Stanisław Kulczyński, wysoki urzędnik w powojennej Polsce.

Sporo już lat temu, w Warszawie, gościłam dra Jana Longchamps de Bériera, który przyjechał z Gliwic, gdzie osiadł po wojnie, i opowiadał mi rodzinne dzieje. Najmłodszy syn jednego z wybitnych w tej rodzinie prawników Romana Longchamps, wówczas szesnastolatek, ocalał, pozostawiony z matką w domu, gdy gestapo zabrało ojca i trzech starszych braci. Bronisław i Zygmunt byli absolwentami Politechniki Lwowskiej, Kazimierz był

po maturze. Nie pytałam mojego gościa o tamto wspomnienie – o chwilę, w której przestał istnieć dom, gdzie czterech chłopcy uczyli się i bawili, grali w ping-ponga, obliczali oszczędności na kupno kajaka, planowali wycieczki, urządzali wieczorki taneczne, rozmawiali z rodzicami o najważniejszych rzeczach. Tamtą chwilę zapisał – na podstawie relacji świadków – Zygmunt Albert, po wojnie profesor medycyny we Wrocławiu, w książce *Każń profesorów lwowskich lipiec 1941. Studia oraz relacje i dokumenty*:

Wtargnąwszy do domu prof. Longchamps de Bériera zachowywali się brutalnie, wytrącili profesorowi papierosnicę z ręki, nie pozwolili wziąć płaszczy, krzyczeli, że nie będą im potrzebne, nie pozwolili żonie i matce pożegnać ani odprowadzić do bramy swych najbliższych.

W listopadzie 1941 dr Karolina Lanckorońska znalazła się we Lwowie:

Na pierwsze miejsce [w działaniach placówki RGO – M.B.] wypłynęła oczywiście sprawa zaginionych profesorów. Prezes Ronikier przyjmował ich żony i matki i zbierał szczegółowe wiadomości, które oczywiście nie dawały nic. Przychodziła pani Longchamps, której w pierwszej chwili nie poznałam, bo pamiętałam pełną temperamentu i wesołości blondynkę, a przyszła cicha, siwa starsza pani: „Takiej defilady jak ja – chyba na świecie nie odebrał nikt. Gdy ich wyprowadzano, stałam we drzwiach, szedł najpierw mąż, potem syn najstarszy, potem drugi, wreszcie trzeci. Wszyscy szli patrząc na mnie”. Spokój, z którym to mówiła, był prawie nie do wytrzymania.

Po krakowskiej „Sonderaktion” na Uniwersytecie Jagiellońskim, Niemcy rozprawili się z lwowską elitą skuteczniej i... szybciej. W obu przypadkach mieli przygotowane listy nazwisk, gdyż był to zamiar i plan niszczenia ludzi uważanych – słusznie – za zdolnych do przewodzenia oporowi wobec najeźdźcy, gotowych do ponoszenia ofiar w tym oporze i umiejących go organizować.

Lektura dokumentów dotyczących mordu na lwowskich profesorach drastycznie przeczy, trwającym aż do okupacyjnych doświadczeń całego społeczeństwa, przesładczeniom, że naród mający w dorobku wspaniałe dzieła kultury nie pozwoli zdeprawować się zbrodniczej ideologii, choćby najbardziej ułudnej i mistrzowsko oferowanej. Jest wśród tych dokumentów zeznanie służącej w domu jednego z aresztowanych profesorów, która ze zdumieniem opowiadała jak oficerowie gestapo, w eleganckich mundurach, ustawivszy pojmanych przy drzwiach, rzucili się do szaf i szuflad i napychali kieszenie znaną biżuterią, pieniędzmi, wszystkim, co im się spodobało.

W 2011 r. minie siedemdziesiąta rocznica tamtego mordu. Uniwersyteckie późne wnuki lwowskich profesorów przepowiedzą sobie wtedy ich niespisany testament, którego sednem jest – od pokoleń – wierność podstawowym zasadom w naukowym poszukiwaniu, w wychowywaniu młodych, w stosunku do otaczającego świata. Dochować? Zobowiązanie wobec tej bolesnej pamięci z pewnością pomaga.

MAGDALENA BAJER